

JADWIGA MIGOWA.

## PANTERKA.

(Powieść współczesna).

4)

Nie upudrowana jeszcze, nie umalowana, wyglądała dziwnie nieświeżo pomimo swej młodości. Cera jakaś szarzała, na skroniach żółtawe smugi, usta przybladłe i splecione.

— Uuuuu!... — ziewnęła przeciągle — ale tu zimno, nie mogła mama chociaż porządnie napalić!

— Skądże tyle pieniędzy wezmę na węgle? Tyna swoje fatalachy więcej wydasz, aniżeli zarobisz, a jeszcze sobie biuro lekceważysz! z czego my żyć będziemy, co?

— Jakoś tam wyżyjemy...

— A gdzieżeś się wczoraj włóczyła? różnie już z tobą bywało, ale jeszcze do trzeciej w nocy to nigdy! Coś robiła? gadaj!...

— Stefka wzruszyła ramionami.

— Zapisalam się na wieczorny kurs robienia kapeluszy i to się tak długo przeciągnęło. Matka spojrzała na nią niedowierzająco.

— Co ty tam opowiadasz?

— Niech się mama dowie, czy ja nie byłam wczoraj w magazynie mód „Madame Anna”.

Łączkowej jakoś nie chciała się pomieścić w głowie ta nocna nauka, ale Stefka mówiła z taką pewnością siebie, że pomyślała: „a może”.

— Co ci strzeliło do głowy z tymi kapeluszymi?

— O! tak sobie!... może mi się to przyda.

Podeszła do miednicy — brrr... zimna woda! niech mama da ciepłej!

Skoro Stefka się umyła, matka podała jej śniadanie, złożone z białej kawy, nalanej do fajansowego garnuszka w kwiaty i dwóch bułek z masłem.

Stefka, zwykle obdarzona dobrym apetytem, dzisiaj jakoś bardzo niechętnie zabierała się do jedzenia. Upiła trochę kawy, ugryzła kawałek bułki i odsunęła kwiecisty garnuszek.

— Co to, nie jesz?

— Jakoś mi się nie chce.

— Chora może jesteś? — zaniepokoiła się matka.

— E nie! tylko mnie trochę głowa boli i jakoś w gardle piecze.

— Łączkowa podejrzliwie spojrzała na córkę.

Stefka, czyś ty wczoraj wódki nie piła?

— Jaka tam wódkę — burknęła — mama wie, że ja wódki nie znoszę!...

Usiadła przed lustrem na starej wytartej trymudce i zaczęła ołówkiem robić sobie brwi. Łączkowa krzątała się po pokoju, sprząając to i owo, jednocześnie rzucając w stronę córki badawczym wzrokiem.

— Stefka, ja ci mówię, ty się pilnuj. Nie zapominaj, żeś ty nie z bylejakiej rodziny, że twój ojciec był na uniwersytecie!...

Stary Łączka istotnie był służącym na uniwersytecie, czyli, jak się sam wyrażał, miał w swej opiece sale uniwersyteckie, co w mniej górnołotnym określeniu znaczyć miało, iż do stałych jego obowiązków należało zamykanie tychże sal. Kilka razy w czasie uroczystości uniwersyteckich zastępował jednego z pedelów i przybrany w strój z pozłocistymi guzami, piasłował z powagą berło. Te podniosłe chwile miała właśnie na myśli Łączkowa, kiedy przestrzegała córkę.

— Ty się szanuj! Bo twój ojciec przed samym rektorem i prefesurami berło nosił.

— Proszę mamy teraz wszystkie profesory uniwersytetu same dziady, teraz uniwersytet nic nie znaczy, tylko „hopy” i spryt!...

Łączkowa oburzyła się:

— A to co za głupie wymysły! uniwersytet, to jest uniwersytet! to se pamiętaj i pamięć ojca szanuj!...

Stefka, nakreśliwszy sobie brwi, podczerniwszy sobie oczy, smarowała kremem twarz, jako podkład do pudru.

— Czego ty tyle pieniędzy na te smarowidła wydajesz? I tak jesteś dziewczyna jak krew z mlekiem! Po mnie urodę wzięłaś! — dodała z dumą.

— Co się tam matka na tem zna — mruknęła Stefka i prowadząc dalej dzieło upiększenia, patrzyła dalej w niezbyt szlifowaną taflę zwierciadła. Po chwili obejrzała się na matkę; ude-

rzyło ją to po raz pierwszy, że jest istotnie do tej nadmiernie otyłej kobiety o ciężkich ruchach, obwisłych piersiach i rozlanej trywialnie twarzy, bardzo podobna. Te same oczy, które u matki straciły już blask i wyraz kociej kokieteryi, te same usta i za szerokie i za wydatne, ten sam nos lekko zadarty, u Łączkowej obecnie potwornie rozszerzony i ten sam niezupełnie regularny ował, który u starej zatracił wszelki rysunek w pokładach tłuszczu i fałdach zwisającego ciała.

— Czyżbym ja tak kiedyś wyglądać miała — mignęła jej przykra myśl. Stefka nie należała jednak do natur, skłonnych do pesymistycznych rozmyślań, to też wnet uśmiechnęła się do swego wizerunku w lustrze.

— Co mi tam! tymczasem jestem ładna i mężczyźni na mnie lecą... Trzeba tylko mieć rozum!

— Zmiłuj się dziewczyno! Czego ty się dzisiaj tak wykokosić nie możesz? Józef się do biura spóźniła.

— Biuro nie zając, nie uciekniesz!

— Ale posada może uciec.

— Niech już mamę o to głowa nie boli.

— Dyrektora macie nowego. Podobno ostry?

— Aha!

— Rozmawiałaś już z tym nowym dyrektorem?

— Uhm!...

Stara postąpiła ku córce tak szybko i gwałtownie, że rozwiały się poly jej barchanowego w ceglata krak kaptana.

— Stefka, ej Stefka!... ja tam o tym dyrektora to i owo słyszałam!... ty rozum miej i pamiętaj, że ty zamąż wyjść musisz.

— Niech się mama nie boi, jak ja zechcę, dziesięciu mężów będę miała!...

— Dziesięciu, ale jak?... niech tam już będzie jeden, ale po Bożemu, uczciwie z księdzem, z obrączką, z sakramentem! A może byś tak wzięła tego młodego urzędnika, co to za tobą tak łązi jak narzeczony. Dobry jakiś chłopczyzna i posadę ma, byłby mąż z niego.

— Woźniewicz? dajże mi mama święty spokój z tym niedorajdą. Ja nie takiego waria.

— Mojaś ty, warta nie wart! ale on się naprawdę żenić chce, a to grunt. Inny ci będzie oblecywał złote góry i pójdzie z tobą wszędzie i no nie do ołtarza. Pamiętaj, Stefka.

Ostatniej przestrogi matki Stefka już nie słyszała, bo znalazła się już za progiem, w ciemnej sionce. Zanim zdążyła wstąpić na schody, uchyliły się drzwi sąsiedniego mieszkania i wyrzala z nich rozczochrana głowa starej, przysadkowatej kobiety.

— Dzień dobry pannie Stefko! panna Stefka dopiero teraz do biura? O! moja Polcia już dawno poszła. No, ale jak się o trzeciej w nocy do domu wraca!...

— A pani co do tego, kiedy ja do domu wracam? Pilnuj sobie pani swojej zezowatej Polci.

— A tobie wara do tego czy zezowata, czy nie zezowata. Ale porządna dziewczyna! czysta jak ta szklanka w źródlanej wodzie wymyta.

— Komu by się ja tam tłuc chciało — zaśmiała się Stefka — i zbiegła ze schodów, nie słuchając dalszych mamrotów sąsiadki.

Nie szła wcale do biura. W czasie wczorajszej „próby głosu” w magazynie mód „Madame Anna” Chaniewski oświadczył jej, że ma zrobić podanie o urlop z powodu choroby, a on tymczasem wyrobi jej engagement do operetki. Kombinacja ta najzupełniej odpowiadała Stefce, bała się jednak przyznać matce, znając jej poglądy na teatr i marzenia o ślubnej obrączce dla córki. Powie dopiero wtedy, kiedy już wszystko będzie zdecydowane, matka będzie się musiała pogodzić z faktem. Może się nawet wyprowadzi z domu. Chaniewski mówił przecież!...

Jakiś lodowaty dreszczyk owionął ją na wspomnienie tego człowieka, który wyciągnął po nią rękę gestem wielkiego pana i zdobywcy, niedbale a rozkazująco i zmusił ją do posłuszeństwa bez jednego czulego słówka, bez jednego komplementu. Czula właściwie niechęć ku niemu, ale nie ośmieliłaby się mu przeciwstawić. Zresztą potrzebowała go. On miał być dla niej środkiem do tej wielkiej kariery, o której roiała. Gniewało ją to wszakże, że ją traktuje tak dziwnie z wysoka i obiecywała sobie z czasem pokazać mu swoje pazurki panterki.

— Łyso! stary!... myśl może, że ja sobie nim głowę zawrócę! oho! to nie zemną spraw! Żeby on tak był do Króleckiego podobny to co

innego. Niech ja się tylko porządnie w górę wygrzebię!...

Owionął ją mocny, a dyskretny zapach perfum paryskich „fleur de amour” i Stefka wciągnęła w nozdrza odurzającą woń i spojrzeniem, w którym malował się podziw mieszany z zazdrością, obrzuciła wysoką, piękną brunetkę w niezwykle eleganckim „drap” kostymie. Ramiona brunetki spowijał błękitny lis, zupełnie taki, o jakim Stefka marzyła oddawna, wielkie brylanty w uszach ciskały snopy tęczyowych światel, jeśnienno ostatniej mody kapeluszy otoczony był zwiewnym wianuszkami prawdziwych „rajerów”. Uwadze Stefki nie uszedł żaden szczegół ani wytworne harmonizujące z tonem kostiumu rekawiczki zapięte na guziczki z masy perłowej, ani wydłużony, lakierem obłożony bucik, ani przeźroczka osłonka jedwabnej pończochy. Znała tę kobietę z widzenia i z nazwiska, wiedziała, że to jest wybitna artystka dramatyczna i nieraz zazdrościła jej strojów, klejnotów i roju eleganckich adoratorów. Teraz i ona wstępuje na scenę i ona wkracza na drogę prowadzącą do posiadania takich wspaniałych butonów, automobilu i błękitnego lisa. O tem, że tamta góruje nad nią talentem, inteligencją i zamiłowaniem do sztuki nie myślała wcale. Nie rozumiała tego. Dla niej scena przedstawiała się jako wystawa wdzięków kobiecych, które dopiero w tej oprawie należycie zabłysnąć mogą i znaleźć godnych nabywców. I tem silniejsza była od wielu, wielu dziewcząt wstępujących w zwodniczy blask teatralnych kinkielów, że nie niosła ze sobą obciążających tęsknot do sztuki i piękna, że nie marzyła o roli Ofelii lub Lady Macbeth, ale zamierzała teatr uczynić służebnikiem swych bardzo realistycznych i zupełnie określonych dążeń i pożądań.

Stefka przypomniła sobie, że musi kupić pudru i karminu do ust, Weszła więc do wielkiej drogueryi, gdzie widniała imponującymi zgłoskami wymalowana firma: „Antoni Babel”.

Wnętrze sklepu urządzone było z wyszukaną, nowitką elegancją. Sposób rozmieszczenia flakonów, ozdobnych kaset, pudełek, wazonów z kwiatami na ladzie — wszystko to wskazywało, że przy urządzeniu drogueryi myślano troskliwie o tem, by pociągała klienta zewnętrznym estetycznym wyglądem.

Stefka, mając do załatwienia skromny zupełnie sprawunek, kazała przy tej sposobności pokazać sobie najdroższe pudry, kremy i najwskwinniejsze perfumy. Oczy jej błyszczały pożądlivością, gdy oglądała pięknie rżnięte flakony, napelnione paryskimi i angielskimi wonnościami.

Garnęła ku sobie formalnie te wszystkie kosztowne wyroby perfumeryi o odurzających zapachach. Dziecko bruku i zepsucia miejskiego, nie odczuwała piękna przyrody i nie tęskniła za nią, wolala zawsze kwiaty aksamitne lub jedwabne od żywych, a wonie pachnideł upajały ją mocniej, aniżeli zapachy bżów majowych i świeżo rozkwitłych róż. Niby odaliska haremu lubowała się w mocnych, oszalamiających woniach pachnideł.

— Ile kosztuje ten flakon? — zapytała, wskazując kryształowy flakon, subtelnie wyrzeźbiony z napisem „ambra”. Subjekt wymienił kwotę, przewyższającą kilkakrotnie zasób pieniężny Stefki.

— A ten? — wzrok jej spoczął na wylwornej kasetce, zawierającej jakieś drażniące angielskie perfumy.

Okazało się, że te są jeszcze droższe. Stefka przycięła wargę zębami, zła, zdenerwowana jak zawsze, kiedy nie mogła zaspokoić jakiegokolwiek fantazy.

— Czy to ostatnia cena?

Wypomadowany, różowy, elegancki subjekt wzruszył ramionami lekceważąco. Pytanie wydało mu się niedorzecznym, budząc jednocześnie podejrzenie, że klientka ogląda tylko, a kupić nie ma zamiaru.

— U nas są ceny stałe, proszę pani — rzucił tonem nieco mniej ugrzecznionym.

— Coś jednak przecie opuścić można. — Stefka z namietnością małomieszczanki krakowskiej lubiła się targować nawię wtedy, gdy o kupnie nie myślała wcale.

— Absolutnie nie, proszę pani — odpowiedź była już wyraźnie szorstka.

(Ciąg dalszy nastąpi).